

TGCOM24 – 10 marca 2013, godz. 14.00

„WYWIAD NA NIEDZIELE”

**Alessandro Banfi w rozmowie z księdzem Juliánem Carrónem,
przewodniczącym Bractwa Komunia i Wyzwolenie**

ALESSANDRO BANFI. *Witamy księdza Juliána Carróna, przewodniczącego Bractwa Komunia i Wyzwolenie. Dziękujemy, że jest ksiądz z nami.*

JULIÁN CARRÓN. Dziękuję, cała przyjemność po mojej stronie.

W artykule dla „La Repubblica” przypisał Ksiądz pewien sens decyzji Benedykta XVI, mówiąc o gości wolności, to było kluczowe słowo Księdza komentarza. Czy może nam to Ksiądz wyjaśnić?

Wydaje mi się, że sens tego jest bardzo prosty: czegoś takiego, gestu takiego kalibru nie da się wyjaśnić tylko pewnymi czynnikami, które wydaje się, że muszą warunkować taką decyzję: odwagą, trudnościami, sytuacją Kościoła; to wszystko nie wyjaśnia jednego: radości na twarzy Papieża. Taka myśl mi się pojawiła, kiedy zobaczyłem Papieża po raz ostatni z rozpromienioną twarzą, zanim zamknęła się za nim brama Castel Gandolfo; możemy wymyślić tysiąc interpretacji, ale pozostaje widok tej radosnej twarzy i każdy musi się z tym zmierzyć: czy któraś z tych interpretacji potrafi wystarczająco wytłumaczyć taką radość?

W takim razie, jaki jest prawdziwy sens tego gestu?

Według mnie tylko taki, że jest Ktoś, kto wypełnia serce Papieża, kto sprawia, że ono jest po brzegi wypełnione radością, którą widzimy na jego twarzy. Wszyscy tego doświadczyliśmy. To nie jest strategia, to nie jest coś, co możemy dać sobie sami, to nie jest coś, do czego możemy dojść dobrze przemyślaną drogą; odnajdujemy to w sobie, kiedy wydarza się coś do tego stopnia wielkiego i pięknego, że nas napęla, tak bardzo, że twarz tryska radością. Ta pełnia jest źródłem wolności.

A jednak Ratzinger nie ma jakoś szczególnie uczuciowej osobowości, on sam mówi o sobie „Nie jestem mistykiem”. Prowadził nas drogą bardzo rozumową, także bardzo intelektualną.

Właśnie dlatego to wymaga dobrego wyjaśnienia, bo on nie jest człowiekiem, który podejmowałby tak wielką decyzję, nie rozumiejąc jej wagi i konsekwencji, on nie jest człowiekiem, który by zrobił coś takiego bez pełnej świadomości. Dlatego nie można sprowadzić tej radości, o której mówię, do kwestii sentymentalnej; ona ma bardzo głębokie korzenie, tkwiące w głębi serca. Dlatego zadałem pytanie: czy ktoś się zastanawiał, co znaczy Chrystus dla Josepha Ratzingera, dla niego osobiście? Ponieważ można to zobaczyć, kiedy naprawdę doświadcza się miłości: tym co wypełnia życie, nie jest strategia, tylko stanięcie w obliczu obecności, która nagle sprawia, że zaczynasz promienieć. Tylko jeśli spojrzymy najpierw na podstawowe doświadczenie swojego życia, możemy zrozumieć podstawowe doświadczenie innego człowieka. Bez tego utkniemy w swoich interpretacjach, nie patrząc na to, co mamy przed sobą; bo kiedy ktoś, patrząc na nas, widzi taką radość, że musi zapytać: „Co takiego się stało?”, to, żeby mu to wytłumaczyć, nie wystarczy strategia czy odwaga. Pytamy: „Czemu dzisiaj przychodzisz taki radosny do pracy? Co takiego się stało?”. Coś innego, Ktoś inny jest źródłem takiej radości, jaką widzimy na twarzy kolegi czy przyjaciela.

Krótko mówiąc, twierdzi Ksiądz: [Papież] sprawił, że Kościół musi podjąć refleksję o swojej naturze, czyli na koniec o tym, co najbardziej podstawowe, o Jezusie Chrystusie.

Właśnie. Właśnie to powiedział. Rzecz w tym, że aby zrozumieć ten gest nie pomniejszając go, trzeba mieć za sobą pewne doświadczenie. Bo możemy zrozumieć doświadczenie drugiej osoby tylko, jeśli w jakiś sposób doświadczyliśmy tego samego, w przeciwnym razie myślimy, że to rozumiemy, a tak naprawdę to pomniejszamy, dlatego musimy wymyślać inne interpretacje. Tylko osoba, dla której Chrystus jest czymś realnym, a nie tylko wytworem wyobraźni czy autosugestii; tylko osoba, która nie sprowadza chrześcijaństwa do etyki, do organizacji, ale dla której jest ono życiem – jak powiedział ostatnio Papież, przemawiając do kardynałów: Kościół jest życiem, które wciąż wypływa z obecności Chrystusa – tylko ktoś taki może wytłumaczyć takie doświadczenie. Rozumiem, że dla wielu osób to nie jest dobre wytłumaczenie, ponieważ, skoro nie doświadczyły Chrystusa jako czegoś realnego, to sądzą, że nie można tego w ten sposób wyjaśnić. Ja to rozumiem, dla mnie to jest całkowicie zrozumiałe, ale tylko kiedy czegoś takiego się doświadczy – jak ci, którzy spotkali Chrystusa: „Nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego” – można zrozumieć takie doświadczenie.

A jednak ten gest wyraża też poczucie, że w Kościele konieczna jest odnowa, przemiana, reforma.

Ale wydaje mi się, że to jest obecne w tym wszystkim, co Papież powiedział potem: w tym geście jest nie tylko wezwanie do odnowy, on nie tylko mówi, czym jest Kościół i Kim jest Chrystus, ale wskazuje także metodę: jeśli Chrystus nie stanie się tym dla was, nie będziecie mogli odnowić Kościoła za pomocą strategii; jeśli się do Niego nie nawrócimy (nie w takim sensie, w jakim często używamy tego słowa, jakby nawrócenie było czymś moralistycznym), jeśli Chrystus nie stanie się tym, co dla nas najdroższe, odnowa nie będzie możliwa, ponieważ człowiek pragnie pełni: jeśli nie odnajduje jej w obecności Chrystusa, to szuka jej gdzie indziej, wszyscy szukamy jej gdzie indziej, jeśli jej w tym nie odnajdujemy. Dlatego nie tylko gest sam w sobie jest wezwaniem, ale wskazuje nam też na metodę i drogę do odpowiedzi na to wezwanie; i to nie jest tylko wezwanie moralistyczne, jest dla nas świadectwem drogi. Jak w pierwszym spotkaniu, o którym opowiada Ewangelia, w pierwszym spotkaniu jest odpowiedź i wskazanie drogi, kiedy tych dwóch pierwszych, Jan i Andrzej, spotkało Jezusa, spotkali pewną osobę, jakąś obecność tak bardzo wyjątkową, że pokazała im drogę: i rzeczywiście, wrócili następnego dnia, żeby Go spotkać i do końca życia należeli już do Niego. Pytanie brzmi: czy Kościół rozumie, że to jest metoda? Tylko, jeśli Kościół stanie się obecnością, jeśli każdy chrześcijanin stanie się taką obecnością, do której człowiek, który na nią patrzy, chce wracać następnego dnia, bo jest to decydujące dla jego życia...

Właśnie, jakie zdaniem Księdza są w tym momencie potrzeby Kościoła?

Kościół potrzebuje tego, o czym mówił nam Papież ogłaszając Rok Wiary, to znaczy że Kościół, tak jak my wszyscy w każdym momencie życia, potrzebuje na nowo odkrywać, co się wydarzyło w momencie, kiedy zostaliśmy chrześcijanami, na nowo odkrywać to jako coś fascynującego, nowego, naprawdę przyciągającego nasze życie. Jeśli to się ograniczy do jakiegokolwiek dzisiejszej etykiety chrześcijaństwa: do organizacji, etyki, duchowości, to żadna z tych rzeczy nie będzie mogła ogarnąć całego „ja”, a jeśli nie ogarnie całego „ja”, będziemy szukać spełnienia gdzie indziej. Bardzo podoba mi się zdanie św. Tomasza, które dobrze to podsumowuje: „To wydaje się życiem każdego człowieka, w czym znajduje największą przyjemność, czym się najbardziej lubi zajmować”. Najważniejszą kwestią życia każdego z nas, wierzących i niewierzących, jest to, w czym znajdujemy największe spełnienie. Rzecz w tym, że wszystkie osoby, które spotykamy, do pewnego momentu nas spełniają, ale potem bardzo często się to kończy. Jedyne pytanie brzmi: czy jest obecność, w której spełnienie nie tylko się nie kończy, ale wzrasta z czasem? Bo w przeciwnym razie życie traci sporo na swoim znaczeniu. Odnajdujemy się w tych słynnych słowach Eliota: „tracimy Życie w życiu”. Niestety, wielu ma takie doświadczenie. Ale doświadczenie chrześcijańskie przedstawia nam inną możliwość: zyskiwanie Życia w życiu. Można zobaczyć, że to jest prawda, ponieważ widać, że człowiek w wieku Papieża nie jest przegrany; widać, że on jest u szczytu dojrzałości, widać na jego twarzy, że zyskuje Życie żyjąc.

Proszę Księdza, zadam Księdzu pytanie być może banalne, ale realistyczne. Jak może brzmieć nazwisko nowego Papieża?

Wydaje mi się, że właśnie o tym mówimy – i nie trzeba tu wymieniać konkretnych danych osobowych: potrzeba nam chrześcijanina, wierzącego, zdolnego świadczyć, jak to robił Benedykt XVI a wcześniej Jan Paweł II, by wymienić tylko dwóch ostatnich, o pięknie Chrystusa. Dzisiaj na tym polega problem: by w zagubionym świecie, w którym każdy wydaje się być dryfującą samotną wyspą, móc znaleźć jakiś punkt zakotwiczenia, coś, co może nam naprawdę odpowiedzieć. I nie jest tym przede wszystkim organizacja, jakiś komitet, ale chrześcijanin, powiedzmy to: nowe stworzenie. Wydaje mi się, że to, co mówię, nie jest odkryciem Ameryki, ale właśnie na to wszyscy chcielibyśmy patrzeć: na osobę, która towarzyszyłaby nam w podstawowych sprawach życia.

Cytował Ksiądz wcześniej angielskiego poetę, Thomasa Eliota. Księdza umiłowany poprzednik, ksiądz Giussani, w trakcie jednego z ostatnich wywiadów, jakich udzielił w telewizji, komentował inne słynne zdanie Eliota: „Czy to Kościół opuścił ludzkość czy ludzkość opuściła Kościół?”. Odpowiedział: „Jedno i drugie” i dodał „Kościół wstydzi się Chrystusa”.

Tak, w pewnym sensie rzeczywiście tak jest. Rzecz jednak w tym: dlaczego wstydzimy się Chrystusa? Ponieważ nie odkryliśmy Go całym naszym człowieczeństwem i dlatego myślimy, że nie dajemy sobie i innym najwspanialszej rzeczy, jaką można dać. Jeśli ktoś daje komuś prezent, daje mu go z radością, ponieważ uważa, że sprawi on drugiej osobie przyjemność, że daje jej to, co ma najlepszego; ale żeby móc go dawać w ten sposób, z taką wolnością, z taką radością, musi być przekonany, że to jest dobre dla drugiej osoby, a także, że jest to dobre również dla niego samego. A w takim razie narzuca się wciąż to samo pytanie: co jest dla nas najdroższe? Ponieważ jeśli dla nas nie jest najdroższy Chrystus – jak mówił Solowiow – to trudno, żebyśmy się nie wstydzili dawać Go innym. Taką radość widać przede wszystkim w osobach, które spotykają Go na nowo, w tych, którzy przyszedli ostatni, i są tak wypełnieni radością z powodu tego, co spotkali, że zupełnie nie wstydzą się o tym mówić, są tak bardzo przekonani, że dają innym to, co dla nich samych było odkryciem życia; tak działo się na początku i tak dzieje się teraz osobom, które Go na nowo odkrywają. Problem polega na tym, by Kościół, by każdy z nas chrześcijanin mógł to na nowo odkryć.

Ostatnie spotkanie, na którym Papież przyjmował księży diecezji rzymskiej, zakończył słowami: „Chrystus zwycięża”. W jakim sensie to stwierdzenie jest prawdziwe?

Jest to pewność metafizyczna i egzystencjalna. Chodzi o to, że według zamysłu, który nie należy do nas, On zwycięża w tych, którzy Go przyjmują; tym, którzy Go przyjmują, daje moc, władzę, możliwość doświadczenia, co to znaczy być synami Bożymi, to znaczy, że dzięki temu mogą przeżywać tę pełnię, jaką On daje: i wtedy zwycięża. Ponieważ... no bo czym jest zwycięstwo? Zwycięstwo to nie władza, nie hegemonia, nie zdolność kontrolowania, panowania, posiadania drugiej osoby, ale zdolność do zdobycia naszego „ja” aż do głębi; On potrafi nas pociągnąć tak, że naprawdę nas zdobywa. To jest zwycięstwo Chrystusa. Bez tego chrześcijaństwo nie jest interesujące, ani dla nas, ani dla innych.

W takim razie dziękujemy księdzu Juliánowi za bycie z nami na antenie i życzymy dobrego dnia. Dziękuję.